№ 51 WARSZAWA, DNIA 21 GRUDNIA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

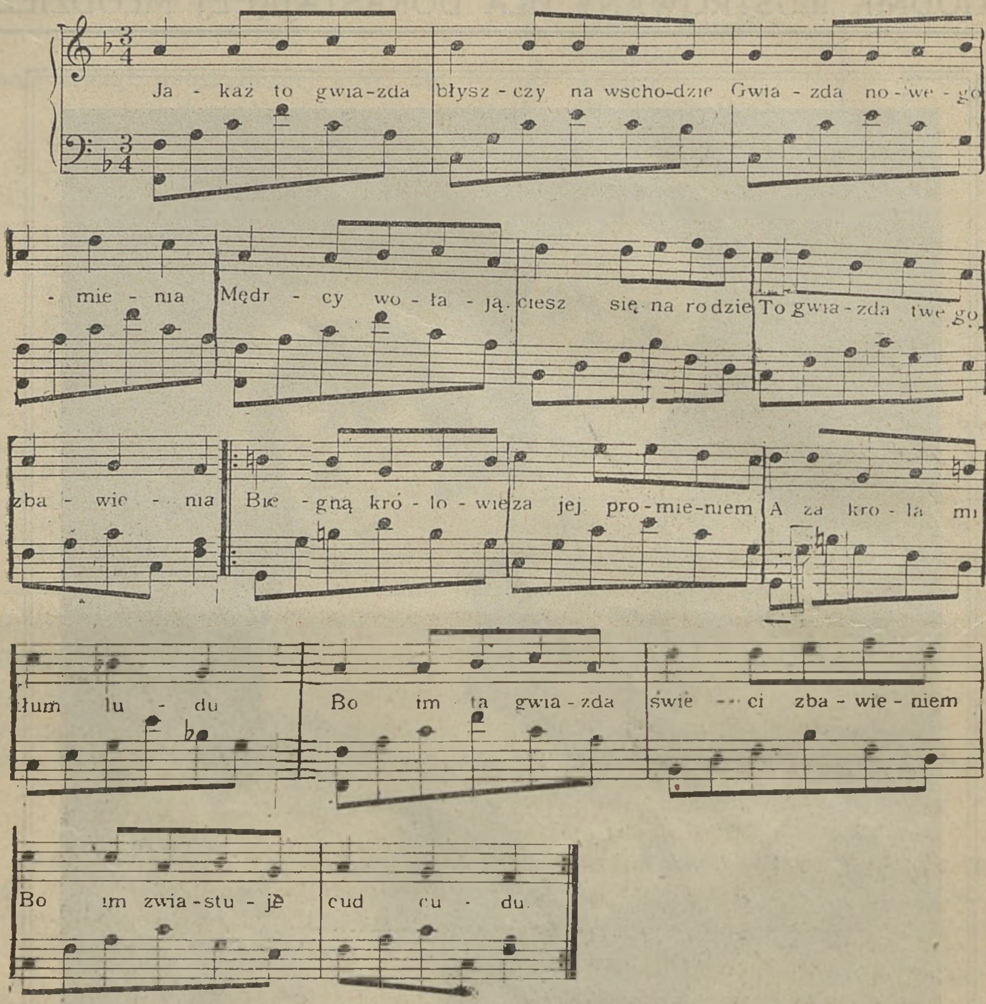
TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.



MADONNA Z DZIECIĄTKIEM.

Kopja z obrazu Murilla.
Oryginał znajduje się we Florencji.

KOLENDA.*)



Ten, co nam miał być później przykładem,
Miłości i poświęcenia,
Dziś niezgłębionych wyroków składem,
Zrodzon w nędzy poniżenia!
W garstce barłogu skrył świętą głowę
Palmę światłości męczeństwa,
Co światu życie miało dać nowe
Nad błędem odnieść zwycięstwa.
Zadrżała zbrodnia, bledną tyrany,
Gdyś Boże zstąpił na ziemię,

Wolen przesądów, złem nie złamany
Ludzkie wybawić zeń plemię.
I do człowieka zniżon postaci,
Wśród ziemskich cierpień i znoju,
Uczyć, jak w bliźnich kochać współbraci,
Podać im gałąź pokoju.
Jak mamy Ciebie, o wielki Boże,
Nad wszystko wielbić, miłować,
Cierniste życia zrywając róże
Stałość męczeńską zachować?

*) Ze zbioru dawnych kolend.

Jak czcić winniśmy nie urodzenie
Lecz osobistą zasługę,
W nędzarzu Twoje widzieć stworzenie
Słodzić mu przykrą żeglugę?
Panie! Ta gwiazda, co mędrców wiodła
Do Chrystusowej kołyski,

Niech nas do Twego prowadzi źródła,
Światowe przyćmi połyski.
Do ostatniego życia zaniku
Boskiego światła udziela,
Byśmy wprost zaszli po jej promyku
Do świętych stóp Zbawiciela!

W WIGILJĄ.

Kilka ostatnich ściegów i pochylona nad maszyną postać czarno ubranej kobiety podniosła się powolnym, znużonym ruchem. Zżółkłe, pomarszczone ręce zgarnęły zwoje różowej materji i świeżo ukończoną robotę starannie składać zaczęły.

Przez małe okienko, wychodzące na ulicę, wpadało do izdebki światło zimowego dnia i dochodził wesoły dźwięk dzwonków licznych sanek.

— Co za ruch!

Panna Teofila przycisnęła czoło do szyby i smutnym, znużonym wzrokiem patrzyła na ulicę, niezwykle ruchliwą i ożywioną z powodu nadchodzących świąt. W ten wigilijny ranek gorączka zdawała się opanowywać różnorodną ludność miasta: każdy śpieszył, zajęty, podniecony, każdy dążył do swego gniazda, aby dzień tak uroczysty spędzić wśród najbliższych. Tylko ona nie miała nikogo, ktoby do niej śpieszył, lub czekał na nią!

Dziś, gdy znużone bezustanną pracą oczy, mogły wypocząć trochę, zjawił się w nich gość częsty — ciężkie, palące łzy. Płynęły zwolna po zoranej przedwczesnemi zmarszczkami twarzy, a wspomnienia coraz boleśniejsze napełniały samotną duszę kobiecą cichym, bezbrzeżnym żalem. Widziała się dzieckiem w rodzicielskim domu, dzieckiem kochanem i pieszczonem; w miłym, szlacheckim dworku uroczysta Wigilja w gronie najbliższych osób, strojna choinka i tyle życzeń serdecznych przy dzieleniu się opłatkiem! — A za oknami białe puchy śniegu, niebo usiane gwiazdami i cudna cisza wsi! I tyle innych Wigilji w tym samym rodzinnym domu, tyle chwil szczęścia i radości!—Potem—nagła zmiana; śmierć ojca, strata majątku i obie z matką znalazły się w wielkiem mieście, zmuszone igłą zarabiać na życie.

Ciężkie to było i smutne, ale młodość wszędzie potrafi wpleść złotą nitkę wesela; póki więc pierwsza wiosna życia zdobiła jej policzki świeżym rumieńcem, a serce napełniała radość i nadzieja, panna Teofila umiała pracować wesoło i patrzeć w przyszłość pogodnie.

Ale lata mijały, igła coraz wydawała się cięższą, oczy coraz częściej zachodziły łzami, a gdy w końcu śmierć zabrała jedyną wierną towarzyszkę, matkę staruszkę, panna Teofila została na świecie zupełnie sama.

Dziś pierwsza Wigilja, którą miała spędzić samotnie; nikogo, ktoby dobrem, ciepłem słowem dodał otuchy, żadna ręka nie wyciągnie się do niej z opłatkiem i życzeniem lepszej doli! Tylko wspom-

nienia, widma przeszłości, napełniają izdebkę i tylko ból nieznośny w sercu stęsknionem...

Zamyślona głęboko panna Teofila, nie słyszała szybkich kroków na schodach i dopiero na kilkakrotne pukanie do drzwi pośpieszyła ku drzwiom. Do pokoju wbiegła młodziuchna, szesnastoletnia dziewczynka i strząsając śnieg z czapeczki i złotawych włosów, poczęła mówić prędko, przerywając sobie co chwila wesołym śmiechem:

— Ani pani się domyśla, po co tu przybyłam; przyjechałam sankami po świąteczne sprawunki i przyszło mi na myśl, żeby zabrać panią.

— Moja złota panno Teofilo! — prosiła serdecznie—proszę mi nie odmawiać; dziś mówiłyśmy z mamą, jak ciężko samotnym w dzień tak uroczysty i przypomniałam sobie, że to pierwsza Wigilja po śmierci matki pani; niepodobna spędzić jej samotnie.

Ze łzami rozrzewnienia, które strumieniem wytrysły z jej oczu, panna Teofila probowała się bronić, ale dwie silne rączki pieszczotliwie objęły jej szyję, a miły głos dziewczęcy mówił dalej:

— Mało to pani napracowała się dla mnie nad tą nieznośną maszyną, naznosiła moich kaprysów? Dziś za to zostawimy ją za karę w samotności, a pani pojedzie ze mną po wspaniałym śniegu i spędzimy razem dzisiejszy wieczór na wsi, bo dziś samotność najbardziej cięży i boli!



Opór był daremny; z sercem przepełnionem wdzięcznością p. Teofila zaczęła się przygotowywać do drogi i za chwilę obie sunęły sankami po iskrzącym śniegu.

Minęły ulice miasta i oczom ich ukazały się nieprzejrzane przestrzenie, pokryte białemi puchami, wśród których ciemniały gdzieniegdzie kępki otulonych śniegiem drzew.

Konie parskały radośnie, czując bliskość domu i rwały naprzód coraz prędzej, a niemłoda kobieta, siedząca w sankach, upojona szybką jazdą, wesoło uśmiechała się do swej towarzyszki, której rumiana buzia wyglądała, jak jagoda, z pod ośnieżonej czapeczki.

Smutna, chłodna izdebka oddalała się coraz bardziej, a zbiedzone serce panny Teofili napełniała tkliwość i rozrzewnienie. W jej bezgranicznem opuszczeniu to młode, świeże serduszko, które w chwili smutku i goryczy dało jej dowód pamięci, było, jak kwiat, który zakwita późną jesienią, gdy już oko ludzkie nie spodziewa się zobaczyć nic, prócz zwiędłych, pożółkłych liści. W wyobraźni biednej samotnicy majaczył cudny obraz: grono rodzinne zebrane przy wigilijnym stole i ciepło domowego ogniska, przy którem jej, spragnionej tego ciepła, ogrzać się pozwolą, i wdzięczność ogarniała całą jej istotę, która prócz goryczy i cierpienia innych uczuć dawno nie znała.

A młodej dziewczynie, gdy spojrzała na tę twarz uśmiechniętą i rozjaśnioną, przyszło na myśl, że ten uśmiech jest najpiękniejszym z darów, jakie jej dzień Wigilji przyniesie, że żadna radość nie dorówna tej, jaką nam daje możność rzucenia promyka wesela na drogę życia nieszczęśliwych, którzy, wśród ciągłych trosk i cierpienia, śmiać się zapomnieli.

Zofja Jeżewska.

Moja podróż.



Ciąg dalszy.

Najodważniejszym okazał się stróż jakiś, który uzbrojony w wielką miotłę, wysunął się naprzód, mówiąc zuchowato:

— Phi! Wielgie mi rzeczy—bomba! Nie jednom widziałem!

Za nim posuwał się policjant z wyciągniętą szablą.

— Nie ruszajcie! Jezu! wybuchnie!

— Coś przecież zrobić trzeba! przejazdu niema, a i niebezpieczno!

To mówiąc, przedstawiciel porządku publicznego zbliżał się powoli, krok za krokiem do czarnego, nieruchomego przedmiotu.

— Trzeba to stąd wziąć! Hej, dajcie mi jaką szmatę!

Stróż usunął się przezornie.

Znalazł się na zawołanie podarty jakiś fartuch, który ułożono opodal niebezpiecznej bomby.

Wówczas policjant końcem szabli poruszył delikatnie „bombę”, chcąc ją jakby

zagarnąć na rozłożony fartuch. Przedtem jednak przeżegnał się ukradkiem.

Nagle stało się coś strasznego! „Bomba”, która zachowywała się dość spokojnie, syknęła, świsnęła i zaczęła kręcić się w kółko.

— Ratunku! — wrzeszczano wokoło, zmykając, co sił starczyło.

A ja, mimo całą niezwykłość położenia, wyrywając mu z ręki moje dzieło. I zacząłem tłomaczyć pośpiesznie cały wypadek z tłomoczkiem. Poparł mnie stróż, jakiś poczciwy Walenty czy Maciej, który dowodził, iż widział, jak przejeżdżałem tędy przed chwilą i wkrótce biegłem pędem ku mojej dorożce, radując się w duszy myślą, jak się śmiać będą w domu z mojej przygody.



potrącany, szturchany przez uciekających, nie mogłem się powstrzymać od okrzyku:

— Doskonale! Świetnie!

Motorek mojego pomysłu, nakręcony widocznie przeze mnie, poczuwszy odsuniętą zastawkę, spisywał się tak dzielnie, iż dusza mogła się rozradować!

Oprzytomniałem jednak z zachwytu, gdy spostrzegłem, iż stróż bezpieczeństwa publicznego, który widocznie poznał się na rodzaju „bomby”, zamierza zagarnąć ją do własnej kieszeni.

— To moje! — krzyknąłem niespodzianie,

— Prędzej! prędzej! — wołałem, wskakując do dorożki.

— A tak! Teraz prędzej! A po ulicy wałęsać się, to nie szkoda czasu! Całą godzinę zbałamuciłem.

Spojrzałem na zegarek i zdrętwiałem! Była już piąta! Pociąg odszedł kilka minut temu.

Dojeżdżałem do dworca, a jeszcze nie mogłem oprzytomnieć ze zmartwienia.

Na pół świadomie sięgnąłem do portmonetki, aby zapłacić dorożkarzowi, który wybuchnął całym potokiem przekleństw.

— Co? czterdzieści kopiejek za tyle czasu! A juści! Rubla mi się należy!

Ponieważ, jak to zwykle w Warszawie bywa, zaczęli się koło mnie gromadzić różni gapie, czyhający tylko na jakąś awanturkę, rzuciłem rubla i pobiegłem za tragarzem do poczekalni.

Okazało się, że następny pociąg wychodził o 7-ej wiecz.

— Dwie godziny różnicy! No, to jeszcze nic strasznego. Jan poczeka do drugiego pociągu—myślałem sobie.

Ale co robić z temi dwiema godzinami? Iść do wujaszka? Aha, dopieroby mnie wyśmiał! I zapewne o tej porze niema go w domu. Koledzy się porozjeżdżali, zresztą dziś każdy zajęty sobą.

Wielkie rzeczy! poczekam na stacji! Czas ten będę mógł zużytkować na uporządkowanie niektórych rzeczy. Przedewszystkiem zajrzałem do mego tłomoczka, chcąc sprawdzić, czy oprócz awanturniczego motorka jeszcze co nie miało chęci wywędrować. Okazało się, że na szczęście jest wszystko, ale w ogromnym nieładzie i trzeba było sporo czasu, żeby zaprowadzić jaki taki porządek.

Potem uczułem silny głód; prawda! przecież nie jadłem obiadu, a teraz i pora podwieczorku minęła.

— Każę sobie podać befsztyk! — pomyślałem i ślinka napłynęła mi do ust na samo wspomnienie pysznego zapachu przysmażonej cebulki. Na szczęście jakiś głos rozważny podszepnął mi, że należy przekonać się, jak się miewa moja kasa.

Wyciągnąłem portmonetkę i zacząłem liczyć. Źle! Bilet drugiej klasy kosztował rb. 3 kop. 79, a ja miałem tylko trzy ruble i dwadzieścia groszy. Tak, tak! konwalje kosztowały trochę drogo, no, ale Mateńka się ucieszy. Wiedziałem, że ucieszyłaby się tak samo, gdybym jej przywiózł kilka tylko gałązek ulubionego kwiatu, lecz taką już miałem naturę, że nieopatrznie zagalopowałem się nieraz i wstydziłem się zawrócić!

Potem ta dorożka! Cały rubel, a liczyczyłem najwyżej dwa złote groszy dwadzieścia. No, ale to doprawdy trudno było przewidzieć, iż motorek będzie wyprawiał takie awantury, że aż zostanie podniesiony do godności bomby.

Niewielka zresztą bieda! Pojadę trzecią klasą i będę miał jeszcze trochę pieniędzy na pożywienie się. W każdym razie należy oszczędnie się urządzać, żeby zajechać do domu.

Głód zaspokoiłem butersznytami, za które jednak zapłaciłem pół rubla! Jak to drogo! Gdybym był sobie kupił ćwierć funta szynki i pięć bułek, zapłaciłbym za wszystko czterdziestaka. Lecz nie pora było teraz rozumować, bo właśnie otworzono kasę i publiczność poczęła się cisnąć po bilety.

Zapłaciwszy za bilet, pozostałem z kapitałem, wynoszącym 43 kop. No, nie było to bogactwo, ale można jakoś zajechać, byle tylko Jan zaczekał na drugi pociąg!

Wreszcie po usadowieniu się w brudnym, ciemnym przedziale, pełnym strasznych wyziewów, spotęgowanych przepisami, iż w zimie nie wolno otwierać okien, rozpocząłem moją podróż, tym razem już koleją.

— No, tyle miałem przygód, że chyba teraz dojadę spokojnie!

W wagonie było pełno, gwarno, nawet hałaśliwie. Obok mnie siedziała bardzo gruba jejmość, która, zaledwie pociąg ruszył, zdjęła z półki koszyk i poczęła wyjmować z niego różne specjały, zadziwiająco szybko znikające w jej szerokich, pełnych ustach. Naprzeciw mnie jakiś starszy pan palił papierosa za papierosem, pluł co chwila, a od czasu do czasu, rzucając gniewne spojrzenie dokoła, klął zcicha:

— Hołota, ps.....!

Powtórzyć tego wyrazu nie chcę, choć podobno jest on szczero polski.

Za mną rozlegały się piskliwe głosiki, lecz nie miałem bynajmniej ochoty przekonywać się, do kogo należały.

Było mi nieswojo; pierwszy raz jechałem tak zupełnie sam. Zwykle odbywaliśmy podróż z kuzynką Litką, która przyjeżdżała do nas często na święta, z wujaszkiem, który był również nierzadkim gościem lub z którymś z kolegów. Zresztą jeździłem w dzień.

No, ale to tylko pięć godzin, nawet mniej, bo już pół godziny ujechaliśmy.

Obejrzano bilety, ktoś nawet zdążył wyjść na jakiejś stacji; wcisnąwszy się w mój kącik, trochę rozmyślałem nad tem, co mnie czeka, trochę się cieszyłem, a może drzemałem, gdy nagle .. ktoś chwycił mnie za nogę!

Zerwałem się z miejsca, nieomieszkawszy krzyknąć w niebogłosy.

Powstało zamieszanie; moja sąsiadka z wielkiego przestrachu omal nie udławiła się skrzydełkiem kurczaka, które właśnie zajadała, dwie młode dziewczynki wskoczyły na ławkę, klnący jegomość zaklął jeszcze siarczyściej, a wszyscy bez wyjątku, ze mną na czele, krzyczeli co się zmieści.

— Ale co się stało?—zabrzmiał głos jakiś, silniejszy od innych.

— Coś mnie chwyciło za nogę—tam! — wołałem, wskazując pod ławkę.

Wszyscy nachylili się ciekawie, gdy nagle z pod ławki wysunęła się para mocno nadwerężonych trzewików, za niemi część ubrania, której nazwy nie mówi się głośno, tembardziej, gdy je zdobi podarta łata w bardzo nieodpowiedniem miejscu; a gdy wszyscy zastygli w oczekiwaniu, wysunęły się zgięte w kabłąk plecy, okryte marynarką wszystkich kolorów, wreszcie kędzierzawa, czarna, jak kruk głowa...

Jak djabeł z ballady o panu Twardowskim, drobna skulona postać zaledwie wysunęła się z pod ławki, wyprostowała się, wyrosła i stanął przed nami chłopiec, starszy zapewne ode mnie, może lat szesnastu.

— Nie potrzebują państwo tak krzyczeć!—rzekł spokojnie.—Wielka rzecz, że tego młodego pana trochę za nogę złapałem! To nie grzech! Zresztą przepraszam!

To rzekłszy, usiadł na rożku ławki, jakby nigdy nic i wyjąwszy z bocznej kieszeni kawał suchego chleba, począł go najspokojniej zajadać.

W wagonie powoli uspokajano się, rzuciwszy kilka niezbyt pochlebnych słów pod adresem pasażera z pod ławki i — moim.

Na następnej stacji wysiadła moja gruba sąsiadka. Wówczas pasażer „na gapę” rozsiadł się wygodniej i wyjąwszy z kieszeni pasek, zaczął nim zręcznie rzucać, tworząc różne figury.

Zajął się tem jakiś młody człowiek i zaczęła się gra bardzo ożywiona, do której przyłączało się coraz to więcej osób.

— Na czem polega ta gra? — zapytałem jednego ze stojących najbliżej mnie.

— Trzeba spróbować, to się zobaczy!— zaśmiał się — a inni wnet mnie zachęcać zaczęli do wzięcia udziału w grze.

Nudziło mi się bardzo a przytem zaciekawiał mnie sposób rzucania paska. Coś nie coś słyszałem o tej grze od kolegów i byłbym chętnie spróbował, ale otoczenie moje nie było zbyt zachęcające, zresztą wspomniałem ostrzeżenie przed oszustami kolejowemi i — odmówiłem.

— No, to zagramy w bilety!

— W bilety? Co to znów takiego!

— To bardzo łatwe! proszę dać swoje bilety. O' tak, dobrze. A teraz niech każdy położy swoje pięć kopiejek. Tak, dobrze. Teraz kto zgadnie numer biletu, ten weźmie wszystkie pieniądze!

Pokazało się, że pasażer z pod ławki

zgadywał wyśmienicie numery biletów i wygrywał prawie za każdym razem.

Zabawa ta wydawała mi się bardzo niewinną, więc powoli dałem się wciągnąć. Miałem doskonałą pamięć i byłem pewny, że uda mi się po paru razach wygrać.

Okazało się jednak, że nie tak to łatwo!

Dziesięciogroszówki znikały jedna za drugą a ja się uparłem, że wygrać muszę...

Nagle powstało zamieszanie...

— Kontroler idzie! — krzyknął ktoś.

Towarzystwo rozbiegło się. Pasażer z pod ławki zniknął.

— Pewno znów się ukrył — pomyślałem.

W tej chwili konduktor zbliżył się do mnie i zażądał biletu. Sięgnąłem do kieszeni — niema. Ah, prawda, graliśmy w bilety...

— No, młody człowieku, proszę o bilet!

Co tu robić? Gdzie szukać tego, co zabrał?

— Co to? Niema biletu?

— Zabrali mi!

— Zabrali? Hę? A kto taki? — drwiąco pytał konduktor.

— Tu byli tacy, co grali w bilety; im dałem swój i zabrali go.

— A tak! Byli i odrazu ich niema! A kawaler dopiero teraz zobaczył, że biletu niema! No, no, znamy się na tem. Właśnie do stacji dojeżdżamy; proszę za mną. Tam się pan wytłomaczy.

D. n. *M. B. A.*

Za oknem sanki dzwonią...

U progu naszej chaty
zgarbiony stoi dziad...
śnieg biały pokrył dachy,
śnieg biały pokrył świat...

Za oknem sanki dzwonią,
dzwon biegnie w srebrną dal,
a w duszy mojej smutno
i czegoś... dziwnie żal...

Połyska taflą lodu
powierzchnia srebrnych wód...
zgarbiony dziaduś stoi
u chaty naszej wrót...

Na polskie, złote strzechy
srebrzysty pada puch...
u progu chaty zima,
zniszczenia stoi duch...

Na oknach mych osiada
srebrzysty, biały śnieg...
za sobą zima wlecze
chlamidy swojej brzeg...

Brylanty siwych szronów
błyskają, jako stal,
a w mojej duszy smutno
i czegoś... dziwnie żal...

J. Dzięciołowski.

Gustaw le Rouge.

NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy

— Idzie na pewną śmierć!—mruknął Ralf.

Lecz, odrzuciwszy jeszcze parę głazów, poszedł w ślady przyjaciela. Zaruk nie odważył się iść za nimi, lecz zaczął gorączkowo usuwać głazy, aby otwór powiększyć.

Przeszło kilka minut długich i męczących... Podziemie wciąż wyziewało dym a dwaj śmiałkowie nie dawali znaku życia.

Zaruk przechodził katusze, nasłuchując ciągle, nareszcie usłyszał głos, wołający nań po imieniu... Wtedy przywiązanie wzięło górę nad obawą i wskoczył w czarny otwór. Zaledwie uszedł kilka kroków, gdy natknął się na Roberta.

— Prędzej! — usłyszał głos zamierający— niosę Albertę... bierz ją... ocal!

Murzyn chwycił na ręce bezwładne ciało młodej dziewczyny i wyniósł je na zewnątrz.

Złożywszy Albertę na trawie, powrócił do podziemia.

Nie mógł odrazu znaleźć Roberta, gdyż ten upadł, tracąc przytomność; odszukał go jednak po omacku i wyciągnął z jaskini.

Robert wkrótce odzyskał przytomność, a pierwsze słowa jego były:

— Alberta ocalona?

A nie widząc przyjaciela, dodał:

— A Ralf? Co się z Ralfem stało?

— Jestem! — odparł głos ochrypły, lecz wesoły.

I Ralf, czarny od dymu, a błyszczący od potu, wyskoczył z otworu, kaszląc i kichając.

— Czy żyje?—spytał z niepokojem, schylając się nad miss Albertą.

— Tak — szepnął Robert — lecz zaledwie oddycha!

— Trzeba ją natychmiast zanieść do źródła, tam ją otrzeźwimy świeżą wodą — rzekł Ralf — a jeden z nas musi wrócić do willi po ratunek.

Schylił się i ujął młodą dziewczynę w swe silne ramiona, a wyprostowawszy się, poszedł naprzód tak lekko, jakby nie niósł żadnego ciężaru.

Przedtem jednak przywołał Zaruka i rzekł mu ze zwykłym spokojem:

— Mój kochany, zrób mi tę przyjemność i odejdź stąd nie prędzej, aż otwór do podziemia zostanie doskonale zawalony kamieniami. W przeciwnym razie mógłbyś się jeszcze kiedy spotkać z Niewidzialnymi!

Zaruk nie dał sobie dwa razy tego powtarzać i wziął się do dzieła z prawdziwym zapałem, który potęgowała chęć oswobodzenia się na zawsze od Niewidzialnych i ostatecznego ich wygubienia.

Robert i Ralf, niosący zemdloną ciągle Albertę, zastali przy źródle Jerzego, który już zupełnie przyszedł do siebie i obandażował

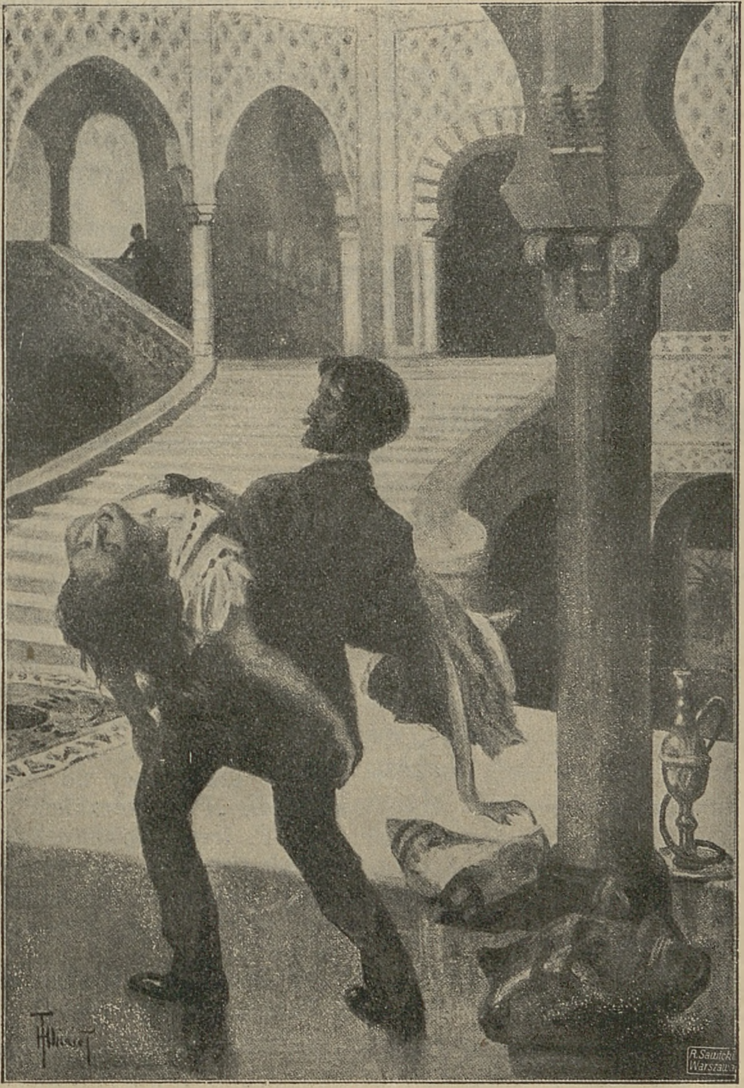
swą ranę chustką. Postąpił właśnie parę kroków, gdy zabrzmiała trąbka samochodowa.

— To Frymcock! — zawołał Jerzy — doskonałą miał myśl... Wybiegnę naprzeciw niego, aby, ominąwszy nas, nie pojechał dalej!

jednak odzyskała świeżą cerę, puls uderzał regularnie — była ocaloną!

Wkrótce umieszczono ją w samochodzie, którym kierował po mistrzowsku lord — kucharz, pałający ciekawością dowiedzenia się szczegółów całej przygody.

Musiał jednak być cierpliwym, gdyż miss



Ralf z Robertem trzeźwili tymczasem miss Albertę wodą ze strumienia i uszczęśliwieni zostali dobrym skutkiem swoich zabiegów.

Pierwsze jej spojrzenie padło na Roberta. Słaby uśmiech zarysował się na jej ustach, lecz natychmiast zamknęła oczy. Twarz jej

Alberta była tak osłabioną i wyczerpaną, że gdy samochód zatrzymał się przed tarasem willi — powtórnie zemdlała.

Robert ją wziął na ręce jak dziecko i wniósł na schody.

Wyjaśnienia.

Miss Alberta, oprócz odurzenia dymem, nie odniosła żadnej szkody na zdrowiu. Starania otaczających, z Robertem na czele, odniosły znakomity skutek i wspomnieniem całej przygody było tylko kilka lekkich oparzeń, tak, iż wieczorem mogła już ukazać się w sali jadalnej.

Po wieczerzy wszyscy zgromadzili się w saloniku, w tym samym komplecie, któremu Robert opowiadał swe niesłychane przygody.

— Dziś ja będę opowiadać moje przygody u Niewidzialnych — rzekła, śmiejąc się, miss Alberta — nie będą one tak ciekawe i nadzwyczajne, jak podróż pana Roberta, myślę jednak, że was zajmą!

Słowa te pobudziły ogólną ciekawość.

— Wczoraj, po rozejściu się naszem, wkrótce usnęłam, a wyobraźnia moja snuć zaczęła dalszy ciąg doznanych na jawie wrażeń. Ujrzałam Niewidzialnych: rzucili się oni na mnie, jak niegdyś na pana Roberta, gdy myśleli, że ich zdradza.

(D. n.) (Tłom. z fran. *K. W.*).

Baba, ozdoba na choinkę.

Na skorupce od jajka (fig 1), wyrysować twarz baby, następnie z czerwonego materjału lub bibułki, wykrajać chustkę (fig. 2), którą zawiązać na jajku, naśladując sposób wiązania chustek u kobiet wiejskich.



fig. 1.



Fig. 3

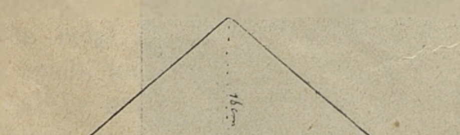


Fig. 2

KRONICZKA.

△ W Londynie zebrali się na naradę przedstawiciele państw bałkańskich, traktujący z Turkami o warunki pokoju. Jednocześnie odbywa się tam narada ambasadorów Anglji, Austrji, Francji, Prus, Rosji i Włoch, mająca na celu zapobieżenie przyszłej wojnie. Daj Boże, ażeby narady te pomyślny odniosły skutek.

△ Znany dobrze poeta, Wiktor Gomulicki, skazany został na rok twierdzy za napisanie przedmowy do noweli Adama Mickiewicza „Pod Stoczkiem".

△ P. Irena Kosmowska, skazana została na rok twierdzy, za wydanie poezji chłopa-poety, Kajetana Sawczuka. Wydawnictwem tem chciała ułatwić kurację choremu na płuca poecie.

△ Grecy w dalszym ciągu toczą wojnę z Turcją, pragnąc zdobyć Janinę.

Naszym Czytelniczkom i Czytelnikom przesyłamy życzenia jaknajmilszej i najweselszej gwiazdki. Niechaj wam ona przyniesie spełnienie wszelkich życzeń!

REDAKCJA

„O własnych siłach“.



Dokończenie.

Gdy nadbiegłem, dom z hukiem, podobnym tysiącznym grzmotom, zapadał się w wodę. Rzuciłem się, aby bodaj cząstkę ocalić, lecz nie na wiele przydały się moje usiłowania! Zaledwie kilkoro drobnych, ludzkich dzieci zdołałem wynieść z topieli, a z tych jeszcze część przerażona, oszołomiona, oszalała, rzucała się nieprzytomnie do wody.

Kobiety, będące ze mną, zdziałały więcej: nieustraszone, z siłą olbrzymek biły się z rozwścieczonemi falami, wydzierały żyjące i martwe ciała ryczącym bałwanom.

Były w tej walce potężne, wielkie i piękne!

Wkrótce wszystko ucichło: zbita gromadka ocalonych, znużona śmiertelnie, poszarpana, ociekająca wodą i krwią, oddalała się zwolna, wlokąc się, jak cienie bezsilne i smutne.

O, wtedy to przestałem odczuwać ból ran, któremi pokryty byłem, bo jakieś kleszcze wpiły mi się w serce i rwały je po kawałku, a oczach zjawiły się żarzące węgle, które staczać się zaczęły po policzkach, zostawiając na nich niezatarte ślady. Poznałem, co to są łzy ludzkie. I jakiś bezmiar miłości do tych nieszczęśliwych istot, których te łzy są udziałem codziennym, ogarnął mnie i przewyższył nawet ból, jaki odczuwałem.

— Panie, pozwól mi ich ocalić! — modliłem się gorąco i zerwałem się znów, aby biedz ku nim, błagać, zaklinać!

Trafiłem na tłum wielki, zmierzający ku wodzie. Stanęli nad brzegiem: płacz, jęki, łkania napełniły powietrze. I widziałem, jak srebrno-włose kobiety nie mogły rozpleść zdrętwiałych palcy, przyczepionych do odzieży krzepkich, rosłych chłopaków, jak młode, hoże kobiety rzucały się w fale za odchodzącymi, jak zawieszały na szyjach mężczyzn płaczące niemowlęta, jak piękne dziewczęta nie chciały wypuścić ze swych ramion, młodych i pięknych, jak one, młodzieńców! A nad nimi unosił się sęp, trzymający w dziobie wielki kawał złota.

Jak oni, oszalały z bólu, krzyczałem głosem wydartym z głębin serca:

— Wróćcie się, zatrzymajcie, tam wasza zguba!



Tłum zwrócił się ku mnie:

— Wrócimy! — wołali jedni, inni kiwali smutnie głową, niektórzy uśmiechali się boleśnie i szydersko; byli tacy, którzy miotali przekleństwa i inni, którzy patrzyli wahająco, gotowi usłuchać.

— Nie zatrzymuj ich, oni iść muszą! — wołały kobiety.

Ani jeden nie wrócił!

Gniew mnie ogarnął i na tych, co wkraczali dobrowolnie w zgubne fale i na ten tłum, który ich nie zatrzymywał, lecz szlochając, popychał. Odbiegłem ich, rzucając się tam, gdzie ludzie pracowali, bawili się lub spali i wszędzie przemawiałem, błagałem, zaklinałem, chwytałem w ramiona, chcąc biciem mego serca obudzić ich zasypiające życie, tchnieniem mej duszy ogrzać ich martwe serca!

— Nie przeszkadzaj! Nie mamy czasu! Nam tak dobrze! – odpowiadali, lub zbywali mnie obojętnością, niechęcią i przekleństwami.

Znosiłem to wszystko, nie tracąc nadziei, że gdzieś przecież słowa moje wysłuchane będą i rzeczywiście, po długich trudach zebrałem gromadkę, która wraz ze mną zaczęła pracować.

Budowaliśmy wielki wał, mający zatrzymywać wodę. Bardzo często fale zabierały nam naznoszone w krwawym pocie kamienie i rozrzucały zaczętą robotę, lecz zawsze zaczynaliśmy ze zdwojonym zapałem, aż mur zaczął rosnąć i potężnieć. Coraz więcej skupiało się koło nas ludzi, otucha wstępowała w serca.

Jednej nocy, gdyśmy spali, zmęczeni całodziennemi trudami, pod rozłożystem drzewem, obudził nas głuchy szmer; nasłuchiwaliśmy pilnie, trwożąc się czy woda nie psuje nam roboty i wkrótce rozróżniliśmy podniesione ludzkie głosy. Fala ludzka kołysała się, zbliżając ku nam z zachrypłemi okrzykami:

— Precz z murem! precz z nimi!

Zanim zdołaliśmy przemówić, aliści młotami, siekierami, kosami, żelaznemi drągami zaczęli rozwalać mur.

— Bracia, opamiętajcie się! Wszak dla was, za was pracujemy! — prosiłem, zbliżając się ku nim.

I nagle, oczy me przesłoniły się mgłą od gradu kamieni, jaki padł z rąk tych ludzi na mnie i na ukochanych towarzyszy moich. Chciałem ich osłonić skrzydłami swemi, lecz zapóźno było! Legli wszyscy pod ciosami braci swoich!

Wtedy z bezmiernym żalem w sercu, wzniosłem się na połamanych skrzydłach i bezsilny, leciałem dotąd, aż padłem u stóp tronu Twego, Panie Najwyższy, aby cię błagać o litość i pomoc dla nich!

*
* *

Aniołowie słuchali, zakrywając lica skrzydłami; powietrze drgało ich tęsknemi głosami, skarżącemi się żałośnie. Lecz oblicze Pana groźne było, z ócz strzelały błyskawice, na ustach drżały słowa zagłady.

Spostrzegł to duch srebrzysty i znów wyciągnął błagalnie ręce:

— Panie, o Panie! przebacz im, gdyż nie wiedzą, co czynią! Przez wszystkie łzy poległych męczenników, przez wszystkie ich cierpienia, przez wszystkie kamienie, rzucone na nich, przez wszystką krew, wylaną za braci swych ludzi, — przepuść i ocal ich, Panie!

I długo niebo dźwięczało błagalnemi głosami proszących duchów:

— Przez łzy poległych męczenników, przez ich cierpienia, przez kamienie na nich rzucane, przez krew wylaną, — przepuść i ocal ich, Panie!

Wszechwładny podniósł promieniejące przebaczeniem i miłosierdziem oblicze, wstał z tronu i otoczony srebrną chmurą aniołów, zbliżył się do słońca, wziął jeden jasny promień i rzucił go na Ziemię.

Wnet zapaliły się od niego tysiączne inne i zapłonęła czarna Ziemia światłością tak wielką, aż się przed nią cofać zaczęły wzburzone fale.

A niebo całe weseliło się wielce i długo płynęło w powietrzne przestworza, uroczyste, pełne czci:

— Gloria, Gloria!

Arytmograf

ułożony przez Tadzika L.

—o—

Następujące liczby zastąpić literami, tak, aby środkowy rząd, czytany z góry na dół, utworzył imię i nazwisko wodza polskiego.

			1	**2**	3			
			2	**4**	1			
			2	**5**	6			
		7	3	**8**	4	3		
	9	10	6	**3**	11	12	3	
12	1	6	1	**7**	3	13	14	3
	15	16	5	**13**	17	10	6	
		18	3	**17**	19	6		
			18	**3**	12			
			9	**6**	3			
			1	**7**	3			
		12	15	**16**	3	4		
	20	1	11	**5**	2	16	5	
20	1	11	5	**13**	5	7	16	5
4	6	17	21	**12**	6	10	11	5
19	13	17	13	**16**	15	1	22	23

Znaczenie wyrazów:

1. Owad.
2. Liczba.
3. Produkt mleczny.
4. Płyn używany do oświetlenia.
5. Mieszkanka gór.
6. Obrzęd przy obejmowaniu rządów przez monarchę.
7. Część doby.
8. Nazwa tańca.
9. Roślina ogrodowa.
10. Zaimek.
11. Inaczej zabawa.
12. Część rośliny.
13. Część guberni Wołyńskiej.
14. Inaczej rozkaz.
15. Uroczyste święto.
16. Cnota.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Laszkę.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 18 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko poetki polskiej.

Sylaby: ja, ma, lo, głó, kran, no, ban, pian, sen, ski, ty, an, sé, ka, é, wi, ba, ran, ró, pie, siń, o, ło, ib, ha, za, cy, sa, gust, ty, ło, ze, grimm, no, au, a, de, war, ur, gró, lę, wy, ta, mur, na, dy, pa, ko.

Znaczenie wyrazów:

1. Jeden z wodzów polskich.
2. Imię kilku królów polskich.
3. Pseudonim poetki polskiej.
4. Rzeka w Polsce.
5. Dramaturg norweski.
6. Bajkopisarz niemiecki.
7. Zwierzę południowe.
8. Roślina.
9. Imię męskie.
10. Hetman litewski.
11. Postać z powieści Sienkiewicza.
12. Ptak wodny.
13. Cyfra.
14. Rodzaj zasłony.
15. Owoce.
16. Kolor.
17. Miasto w gub. Radomskiej.
18. Rzeka w Azji.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

Warunki prenumeraty (do 1 Stycznia 1913 r.).

	w Warszawie	**z przesyłką**
Rocznie	rb. 2 kop. 50	rb. 3 kop. 50
Półrocznie	„ 1 „ 25	„ 1 „ 80
Kwartalnie	„ — „ 65	„ — „ 90
Rocznie z dodatkami w oprawie	rb. 4 kop. 30	„ 5 „ 30

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3